



Dyndalska (Belska)



Orgonowa (Domańska)



Aniela (Wdowińska)



Rotmistrz (Bożyński)



Para amantów (Krzyski, Jasińska)

FREDRO NA PUSTYNI

Korespondencja własna „PARADY”
JERZY BAZAREWSKI

Żołnierski Teatr Dramatyczny Armii Polskiej na Wschodzie wystawił po dwudziestu trzech próbach Aleksandra hr. Fredry „Damy i Huzary”. Z pierwszym przedstawieniem teatr wyjechał na pustynie, między działo przeciwlotnicze i namioty łopocące w podmuchach haminowego wiatru.

Postój w drodze na przedstawienie



Pod wywieżdżonym niebem stanęła scena, widownie utworzyły niezliczone auta, publiczność przyszła w sile — na oko oceniając — ponad cztery tysiące żołnierzy: Polaków i Anglików, Hindusów i Asyryjczyków, Arabów i Bóg wie jeszcze kogo. O godzinie siódmej, to znaczy na dwie godziny przed przedstawieniem, rozległy się wzdłużające szacunek gwizdy. Aktoży przestraszyli się i postanowili zmienić czas podniesienia kurtyny z zapowiedzianej godziny dziesiętej na możliwie najwcześniejszą. W tych warunkach w garderobie podobnej

(jak powiedział słusznie ktoś bardzo przygnębiony zgubieniem huzarskich spodni) do namiotu hetmana Żółkiewskiego, zaczęły się niesamowite historie. Przy akompaniamencie gwizdów i wołań kobiety wkładały nie swoje peruki, mężczyźni bledli i kleli słyszac charakterystyczne trzeszczenie w szwach zabójczych mundurów. Nad ustawieniem dekoracji czuwał wszyscy ludzie dobrej woli, teatralni i przypadkowi, kapraie i pułkownicy. Tutaj naczelne kierownictwo oddane w ręce oficera oświatowego jednego z miejscowych pułków (pamiętam go z Warszawy jako zawsze szczęśliwego amanta w filmach. Nazwisko zaczyna się na Z). Agregator kompani warsztatowej rozżarzył reflektory, w lusterka patrzyły panie w garderobie, a jakiś starszy strzelec musztrował całą kupę kolegów w różnych stopniach: „Noga pan jesteś! Odzie pan ten portret powiesz, jak

pragnę zdrowia. Myśli pan, że za huzarskich czasów tak jak dziś wieszają się działo, gdzie było wolne miejsce na ścianie?”. Do potrzebnego w sztuce strzału gorliwi pomocnicy przynieśli większą ilość nabitych karabinów. Fryzjer teatralny, oczekując potem, poraz dziesiąty przypinał lok pani grającej Fruzie. Coraz bardziej spontanicznie stawali się gwizdy i krzyki. Ci ludzie czekali — na przedstawienie Teatru Dramatycznego — jedni kilka lat, drudzy całe życie. Przeszli obozy i więzienia, Tobruk i wieloletnie, pocziwe żywoty przed wojną, — aby wreszcie na smutnej pustyni zobaczyć jedną z najlepszych polskich komedii, żeby posłuchać pięknej polszczyzny, żeby rozptakać się ze śmiechu patrząc na scenę stworzoną przez nich i dla nich — teatru.

Gdy w ciszy podnosiła się wyęta wiatrem kurtyna, pomyślałem o porażce warszawskiego Teatru Wielkiego w trzydziestym dziewiątym roku, który był dla Niemców symbolem ostatniego gwóźdźa do trumny teatru polskiego, pomyślałem o niesmacznej recenzji Goszczyńskiego, który kiedyś potępił Fredrę za „niemożliwość”. Fredro przetrwał. Kurtyna się podniosła.

Na szlakach świata Polska zawsze wyróżniała się Sułkowskimi, Kościuszkami, Mickiewiczami. Dziś wycinamy się w wojenne szarżynie dzięki Rodzińskim i Kopańskim, dzięki setkom i tysiącom żołnierzy, artystów, pisarzy. A tam, gdzie czujemy się słabi, przywołujemy do pomocy wielkich naszej przeszłości. A Fredro jest właśnie jednym z nich. Jest wielkim pisarzem i humorystą, jest miłośnikiem w sprawach bogactwa języka i myśli, jest mistrzem niedoścignym w błyskach dowcipu i subtelnej chłosty ogólnoludzkich wad.

Teatr Dramatyczny APW zaczął prawdziwie żyć dzięki komedii Fredry „Damy i Huzary”. Komedja ta, z którą teatr wyruszył na objazd Armii naszej na Wschodzie, wskrzesza najwspanialsze tradycje teatru polskiego, daje dowód, że teatry ten istnieje i utrzymuje się na najwyższym poziomie, mimo wojny i potwornej sytuacji Polski i świata.

„Ta wojna jest uboga w poezję i w pieśni... — pisze recenzent Broniewskiego w numerze 9-tym „Parady” — Żołnierze nasi maszerują po piaskach pustyni wciąż śpiewają o „pekach białych róż” i o „romarmynie”. Nie ma pieśni, piosenek”. Czyżby naprawdę? Nie, Panie Redaktorze! Ta wojna jest bogata w poezję i w pieśni. Tylko nikt się nie zatroszczył o to, by do tej poezji, do tej pieśni do trześć, rozpowszechnić ją, uczynić dobrem szeroki mas naszej Polonii żołnierskiej i wygnańczej. Zatrzymaliśmy się w czasie, dostrzegamy tylko tych, co już mają strami techniki poetyckiej okazali się przed pierwszym wrześniem 1939 r. Większość z nich może i zawiódła, nie dorosła, lub conęła się przed ogromem państwa naszych dziejów. Dlatego i „zamówienia” nie zawsze może bywać udane. Ale wojna, niewola, tęsknica — dobyły nuty pieśni, rozdręgały się rytmem wiersza w duszach ludzi, którym poezja nie raz była daleka i obca, którzy ją odnaleźli dopiero w bólu przeżyć własnych i wielkości przeżyć narodu.

O WERSZ I PIOSENKĘ

Czy nie słyszał Pan może o pieśniach stalagów i łagrów, więzień i posiołków — pieśniach polskich, żydowskich i białoruskich? Tych pieśniach czasem naiwnych, czasem pięknych i silnych, mieniących się żywą grą tęsknoty i wiary, szalderstwa i woli walki? Niewątpliwie, tutaj nikt ich już nie śpiewa. Przebrzmiały wraz z łagarami. A przecież warłoby nianizac na nic historii te kryształę też, klejnoty wiary i perły humoru wisielczego. Będą one w przyszłej Polsce dziedziectwem, którego nie wolno zmarować.

Tak, żołnierz nasz śpiewa w pustyni i o „romarmynie” i „pekach białych róż” i wspomina. No więc cóż z tego? Przecież dopiero niedawno, wszystkiego dwa lata temu, nuta ich rozszerzała mu pierś poczuciem wolności. Dziś brzmi mu echem kraju. Na to nie ma rady — piekne pieśni są jak dobre wino: im starsze, tym silniejszym wzmuszeniem upaja. I to jest

dobrze. Ale nieprawda, żeby żołnierz nowych pieśni nie śpiewał. Niewątpliwie — jakoś nie wpada w ucho Antoni Kociubiński i jakoś tamia się nuty polskich przeróbek czy adaptacji „Nie śpiesz, padażdi moj družoczek” lub „Francuzi k aruzju”. I na to też nie ma rady. Ale kiedyś w Kermine, w Uzbekistanie, w jednym z pułków urządzali konkurs na pieśń pułkową — odezwali się wszystkie niemal kompanie i wszystkie stopnie wojskowe. Ba! — nawet batalionom i kompaniom pionkietorym zachciało się własnych piosenek!

Ileż to razy w rytm i nutę piosenki przechodziły hasła dnia. Ci, co byli w Guzarach, pamiętają chyba, jak dnioem głodu, tyłusu i dezynierii odpowiadał obóz zaklętymi w pieśń słowami generała Andersa:

Może nie wszyscy, ale dojdziemy, może nie wszyscy — jak zechce Bóg, ale napewno wszyscy będziemy Szukać do Polski zaszczytnych dróg.

Pieśnią odpowiadała Brygada Karpacka na szturmie Tobruku, piosenką witał żołnierz wybrzeża Szkocji. Każda pieśń, każda nuta jest inna i inne słowa piosenki. Nic dziwnego — tak różne były losy, drogi, doznania. Inna jest nuta Uzbekistanu, inna Tobruku, inna Szkocji. Dlatego wyda się powierzchnowemu obserwatorowi, że wojna ta pieśni nie stworzyła. Poprostu dlatego, że stworzyła ich dużo i na wielu szlakach walki i wygnania.

A przecież pieśń jest. Z Azji Środkowej, z pustyni Iraku przyszyły piękne piosenki i Melodie Romana Chudzikowskiego „Pamiętasz dom swój rodzinny” — pamiętam, autor jednego zdaje się, ale ciekawego wiersza, zaczynającego się od strofy:

Białe orle mój leć do rodzinnych mejch stron, Na piastowej tam usiądź polanie, Sercu memu daj uścisnąć — niechaj zabrzmi jak dzwonek, Ze nie długo już uroć, kochanie.

Ta poezja, te pieśni, pełniły swą doniosłą rolę historyczną. Zasięg „publicystyczny” tej poezji był i jest niewielki. Poprostu zasięg sąsiedziwa terytorialnego. Pułk, czasem dywizja. Ci, którym nie są nieznane utwory (przeważnie nie nazwiska) sierż. A. Sabstowskiego, strzelca I. Probiłowskiego, ppor. R. Chudzikowskiego, por. Cz. Dobka — odrzucał się o jakim terenie mowa. A przecież w tej twórczości, która brzmiała i przebrzmiała w zaułkach jednego oddziału czy garnizonu, znaleźć można nie jedno, co jest naprawdę poezją wojny. Poezją wysokiej klasy i naszej wojny.

Jeden z pułków skrzętnie zbierał utwory swych żołnierzy — niezależnie od ich formalnej wartości poetyckiej, niełatwa słuszna i celowa. Tej poezji dać zaginąć — nie wolno. Ale to mało. Tej poezji nie wolno dać zaginąć w zasiekach oddziałowych. Ktoś musi wziąć na siebie zadanie nie tylko zebrać i zachować, ale i wybrania i wydrukowania tego, co winno się stać dobrem powszechnym. Kryteria doboru muszą być podwójne — co powinno być zachowane i co warto rozpowszechnić. Historyk wojska i krytyk literacki muszą tu współpracować. Zdaje się, że mogliśmy otrzymać zbiór piękniejszych i ważniejszych dla historii i dla poezji, niż rzeczy robione na urząd — jak te utwory, które angielskie wojskowe instytucje oświatowe próbowały zamawiać u znanych poetów angielskich.

Michał Jono